

Leszek Balcerowicz

Trzeba się bić

Opowieść biograficzna

Rozmawia Marta Stremecka

Marta Stremecka: Jaki jest człowiek, który zbudował w Polsce kapitalizm? Proszę opowiedzieć o swoim życiu. Zacznijmy tę opowieść od początku, zanim stał się pan ikoną polskiej transformacji.

Leszek Balcerowicz: Wychowałem się w Toruniu. Choć według oficjalnych zapisów urodziłem się w Lipnie, to mama wyznała mi, że naprawdę przyszedłem na świat w domu jej matki we Włocławku. Ale dokumentów zmieniać już nie będę. Od drugiego do osiemnastego roku życia mieszkałem w Toruniu, stąd też właśnie Toruń traktuję jako swoje rodzinne miasto.

Gdy byłem dzieckiem, ojciec kierował państwową tuczarnią świń (w socjalizmie świnie w dużej ilości też musiały być państwowe). Tuczarnia to było bardzo ciekawe miejsce, bo tam pracowali ludzie z toruńskich slumsów. Zwykle uważa się, że socjalizm zlikwidował slumsy, a to nieprawda. W Toruniu były slumsy nazwane Dębową Górą, to było przedmieście Torunia, położone na piaskowych wzgórzach. Stały tam sklecone z byle czego domy i jak rodzina się powiększała, to w nocy dobudowywano byle jak pokój. Wyglądało to trochę jak fawele w Ameryce Łacińskiej. Mieszkali tam ludzie, których duża część trafiała do więzienia, a po odsiadce szli pracować do tuczarni. Ojciec musiał być twardy i silny, by nad tym wszystkim zapanować – miał pod sobą tzw. element i jakieś dwa tysiące świń.

Dla mnie to też była dobra szkoła życia, bo duża część moich kolegów ze szkoły podstawowej pochodziła właśnie z Dębowej Góry. Niektórzy z nich mieli to do siebie, że zostawali na drugi rok. I z nimi najczęściej się biłem. Lubiłem te pojedynki ze starszymi. Zorganizowałem nawet nieformalną grupę, pamiętam do dziś, byli w niej bracia Kociołkowie, świetni kompani, również do bijaczki. Walczyliśmy dość regularnie. To były czasem ostre bójki.

O co się pan bił?

Szczerze? Żeby się bić. Czasami były też szlachetniejsze motywy. Na przykład jakiś chłopak z Dębowej Góry, dwa lata starszy ode mnie, zaczął grozić jednemu z bliźniaków, którzy chodzili z nami do klasy. Poszło o jakąś dziewczynę, mimo że to była dopiero szósta klasa. Bliźniacy byli dobrze zbudowani, ale ja złożyłem deklarację, że ich obronię. Wyszliśmy ze szkoły, już stoi wataha chłopaków z Dębowej Góry a na czele niezły zabijaka, pamiętam, że nazywał się Derkowski. Zbliża się do bliźniaka, którego miałem bronić. Wsunąłem się do przodu i nagle poczułem, że coś ciepłego spływa mi po głowie. W bojowym ferworze nie zauważyłem, że rąbnął mnie kijem. Krew spływała, w związku z tym bójka się skończyła, moi koledzy zaprowadzili mnie do przychodni, gdzie mi obwiązano głowę, a Romek Kociołek pojechał z zakrwawioną koszulą do mojej mamy, budząc jej przerażenie.

Miałem też osobisty powód, żeby się tłuc z chłopakami. Przezywali mnie kułak albo bamber, czyli z niemieckiego bogaty chłop. Mówimy o połowie lat 50., kiedy takie określenia stanowiły obrazę. Faktycznie, jak na tamte czasy, byliśmy kułakami. Mój ojciec oprócz pracy w tuczarni miał na Mokrem, gdzie mieszkaliśmy, gospodarstwo – świnie, krowy, drób, jak nastała epoka zwierząt futerkowych, a była to taka enklawa gospodarki rynkowej w socjalizmie, bo

brakowało dewiz, ojciec hodował lisy i nutrie. Do moich obowiązków już w szkole podstawowej należało czyszczenie klatek. Okropne zajęcie. Każdego lisa czy nutrię trzeba było złapać za ogon i za ten ogon przytrzymywać w górze, bo inaczej gryzły, a drugą ręką sprzątać klatkę. Innym moim obowiązkiem było codziennie przed szkołą zawozić na rowerze kanki (tak to się mówiło w Toruniu) z mlekiem. 20 litrów do mleczarni oddalonej o dwa kilometry. Zostawiałem mleko, a z powrotem przywoziłem serwatkę, którą karmiliśmy zwierzęta. Jeszcze jednym moim obowiązkiem było przyganianie wieczorem krów z pastwiska. Odbywało się to niestety na oczach moich koleżanek. A krowy jak tylko wychodziły na ulicę, podnosiły ogony i... wiadomo. Trochę głupio mi było z tymi krowami.

Wstydział się pan tych zajęć?

No, nie byłem zachwycony tym, że tak się odróżniamy od sąsiadów. Myślę, że każdy na moim miejscu z tymi krowami tak by się czuł... Ale była też historia ze świniami. Pamiętam, że raz jakaś ogromna maciora nam uciekła i pobiegła na przystanek tramwajowy, gdzie stało mnóstwo ludzi. Wtedy pierwszy raz odmówiłem prośbie mamy, żebym ją przygonił. Postawiłem się, to już było dla mnie nie do wytrzymania.

Rodzice nie mieli wyższych studiów, ale przywiązywali niesamowitą wagę do tego, aby cała nasza trójka zdobyła wyższe wykształcenie, w domu panował wręcz kult wykształcenia. O tym, jak szerokie były ambicje naszych rodziców świadczy też fakt, że postanowili nauczyć nas gry na pianinie. Przez sześć lat, chcąc nie chcąc, chodziłem do ogniska muzycznego. Bez większego entuzjazmu uczyłem się muzyki, bo interesowały mnie inne rzeczy, jak czytanie książek i sport. Jeszcze wtedy nie śmiałem się jednak przeciwstawić rodzicom, w związku

z tym wybrałem strategię niekonfrontacyjną. Siadałem przy pianinie, mechanicznie grałem gamy i pasaże, ale zamiast nut miałem rozłożoną książkę. Mimo to byłem niezły i zostałem zakwalifikowany do muzycznego popisu. Na swoją zgubę, o czym jeszcze nie wiedziałem. W centrum Torunia w szacownym gmachu Dworu Artusa zgromadzili się znajomi, przyszli oczywiście rodzice, pełna sala. Zacząłem grać, dochodzę prawie do końca i nagle zapominam. Czarna dziura, pustka, wyparowały mi z głowy końcowe akordy! Próbuję raz, próbuję drugi, nic, zgroza. W końcu wstałem i uciekłem za kulisy. To był jeden z najmniej przyjemnych momentów w moim młodym życiu. Nawet przeganianie krów wiązało się z mniejszym wstydem.

Co w młodości było dla pana najważniejsze?

Sport, nauka języków obcych i czytanie książek. Od pewnego momentu dużą rolę zaczął odgrywać sport. Zaczęło się od walki z nadwagą. Wtedy, w czasach dość powszechnej biedy, rodzice dążyli do tego, żeby dzieci „dobrze” wyglądały. Wówczas znaczyło to po prostu, że dziecko ma być pulchne. No i rzeczywiście dzięki staraniom mamy i ojca dobrze wyglądałem. Miałem nadwagę gdzieś od trzeciego do jedenastego, dwunastego roku życia. Nawet dzisiaj gdy mi ktoś powie, że dobrze wyglądam, to się niepokoję, przypominając sobie tamto znaczenie tego komplementu...

Ale wracając do mego dzieciństwa w Toruniu: wówczas w szkołach podstawowych dzieci w ramach zajęć z wf miały czwórbój lekkoatletyczny. No i okazało się chyba w piątej klasie, że mam słabe wyniki, bo byłem za gruby. A bracia Kociołkowie przodowali. No to się zawiąłem.

Ambicja, żeby być najlepszym?

Po prostu było mi głupio. Zbiłem sobie stojak do skoków wzwyż, zacząłem biegać codziennie po lekcjach, z kolegą ćwiczyłem trójskok z miejsca i w ciągu roku znalazłem się w czołówce szkoły. W pewnym momencie postanowiłem specjalizować się w biegach średnich. To spowodowało, że w liceum zacząłem uprawiać biegi bardziej profesjonalnie, w klubie sportowym Pomorzanie w Toruniu. Moi rodzice przyjęli to z ulgą, bo mieli obawę, że przedwcześnie się ożenię i zrujnuję sobie karierę, że zrobię dziecko – takie typowe obawy rodziców dorastającego chłopca.

A pan sam co takiego odnalazł w uprawianiu sportu?

Poprawiać wyniki, żeby wygrywać. Trening biegacza polega na tym, że trzeba codziennie biegać, również zimą. Biega się kilometrami po śniegu, najlepiej jak się trzeba przedzierać przez śnieg głęboki aż po pas. Pierwszej zimy nie przetrenowałem solidnie i nie poprawiłem znacząco wyników, ale kolejnej zimy nie zmarnowałem i okazało się, że jestem najlepszy w Toruniu. Potem zdobyłem mistrzostwo województwa bydgoskiego w biegach przełajowych. W 1965 r. zostałem zaliczony do kadry narodowej juniorów na 800 m. W tym samym roku zdałem na Wydział Handlu Zagranicznego SGPiS, dzisiaj SGH, nie wiedząc, o co na tych studiach do końca chodzi. Ale przyjechałem na egzamin jako sportowiec wyczynowiec i to było powodem mojej dumy. Po pierwszym semestrze na uczelni wygrałem w Otwocku mistrzostwa Polski juniorów w biegach przełajowych. Pamiętam, że było nas w czołówce trzech. Jeszcze został podbieg pod górę – wyprzedziłem tych dwóch, potem był zbieg i myślałem tylko o jednym: nie daj się wyprzedzić! I nie dałem. Podekscytowany rozważałem w

myślach, co też powiedzą moje koleżanki i koledzy z Torunia, gdy się dowiedzą, że jestem mistrzem Polski.

Sport traktuję jako bardzo istotną część mojej biografii, bo ile osób było wyczynowymi sportowcami? Ile osób było mistrzami Polski? Gdy pytają mnie, co uważam za swoje największe osiągnięcie, to żartobliwie odpowiadam – mistrzostwo Polski w lekkiej atletyce.